







Radosław Kobierski

„Lacrimosa”









Dowody na istnienie

Może nie było, nie wydarzyło się.
Biografia ojca okaże się snem,
Bo topnieją dowody na jego istnienie

(Niewielu już może zaświadczyć).
Są zdjęcia, tak, pozostały koszule,
Ale przedmioty same nic nie mogą,

I moja wiedza, pewność, której nikt
Nie mógł mi nigdy odebrać,
Staje się takim samym problemem

Jak wiara, jesteś lub ciebie nie ma.
Pięć dowodów na istnienie, z ruchu,
przyczyny, skutku. Szósty to ja.



Zapachy istnienia, po otwarciu szafy

Zapachy istnienia, po otwarciu szafy
(Gdzie wiszą marynarki, swetry, spodnie),
Cała drogeria poranków, popołudni,

Kremu Nivea, wody kolońskiej. Bardzo odległe
Gamy tytoniu, no i właściwy zapach
Tego, a nie innego człowieka. Siedem dekad

Zawarte w jednej kropli *essence absolue*.
Otwieram szuflady, wyblakły neseser,
Szafkę z butami, skórzane etui na okulary.

Jak pies, który stracił trop i nie może trafić,
Chociaż wszystko jest po staremu, takie samo:
Ulice, place w mieście, przystanki,

Schody na klatce. I boje się, że któregoś dnia
Wybrzmi ostatni akord albo stracę węch,
I ktokolwiek mi powie, że byłeś, nie uwierzę.

Anastasis

Był kwiecień, wracali z ciemnicy, z grobu.
Z popiołów znów budził się Mesjasz,
Raz jeszcze z wysokości schodził na dno piekła

Czyli na ziemię, na ulice i do ciemnych
Suteren. W opary gorących mydlin i tytoniu,
Między sznury z bielizną, chusteczkami

Pełnymi kaszlu. Europa była ciemna
I ciemne były jej sprawy. Jeszcze nie tak dawno
Wierzyli w monarchię, modlili do portretów

Przed pracą i po pracy. Fleming odkrywał
Penicylinę, Bułhakow pisał rozdział o mistrzu.
Hitler w Wiedniu wykradał włócznię.

Tę samą, którą ciągle czuje w sercu.
Ale wtedy stał nad ich łóżkiem
Dalekim od postu, splątany od szeptów.

Podawał wodę i wino. I oliwę.
W kobiecie zostawił list, złożył na nim
Trzy pieczęcie, imię, święte trzy litery.

Teologika I

To nie przypadek, że właśnie czajki,
Nie szpaki, kosy, niezgrabne gawrony,
Które dzierzawiły ogród, winorośl,

Szlaki handlowe w zaspach śniegu.
Czajki – początek historii, przyjaźni,
Zleciały w lipcu pod nowy dom,

I teraz myślą tropy do płytkich gniazd
(Ty jesteś za głęboko, żeby zobaczyć).
Piski rozdzierają noc i poranek,

Dzień pierwszy, drugi i tak w nieskończoność.
Jak mam ci powiedzieć, że historia
Trwa dalej. Niosę na rękach ciebie,

A ty we śnie moim niesiesz mnie umarły,
Pod nowy dom, który kiedyś będzie stary
(Zegar stanął, co nie znaczy, że niesprawny).

Już nic nie napiszę, dokończę tylko miłość

Już nic nie napiszę, dokończę tylko miłość,
Siedem rozdziałów będzie o rozpuszcie,
W nocy, pod pościelą, o winie i oliwkach,

I serach z ziołami. Siedem grzechów głównych.
Państwo w państwie, z hymenem w hymnie,
Flagami białizny i mokrych prześcieradeł.

„Żeby zagłuszyć dźwięk szewskiego młotka”.
Pióra sunącego po papierze, kaszlu ojca,
Żyletki, która o świetle usuwa siwy zarost.

Będziemy się kochać we wszystkich pozycjach,
Żeby zadyszeć wieczność, pustą jak kościoły.
Jęczeć z rozkoszy. W łóżku i w wannie,

W kuchni na siatkach z zakupami. I na kamieniach,
Dwa metry od szlaku. I niech nie będzie dzieci,
Ich heroicznej wiary, za którą będą musiały zapłacić

(Tą wiarą albo życiem, wszystkim bajkami).

Jeden z moich pierwszych snów o ojcu.

Jeden z moich pierwszych snów o ojcu
(Utopił się w kałuży, kapelusz
Jak lilia pływał po powierzchni wody).

Groteskowy, a jednak dziecko
Sześćioletnie nie wie, czym jest groteska,
Nie rozumie takich żartów z losu.

Uwierzyłem. Nie wierzyłem, że życie
Tak łatwo można naprawić,
I ojciec rzeczywiście wszedł do pokoju cały.

Nie miał nawet mokrych rąk czy mankietów.
On chyba się przeraził, jak pamiętam,
Że tyle nas już może łączyć,

Jaka musi być odpowiedzialność,
Nie od jutra, ale od teraz na zawsze.
Teraz znów się utopił (w wieczności,

W Bogu). A ja próbuję zasnąć,
Żeby móc się znów obudzić
Pod drzwiami, jak tamtego dnia rano.

Pytanie tylko, co zrobić z własną
Śmiercią, którą zapowiadają sny
Mojego dziecka. Ono już wie,

Że to nie groteska. Nie pomogą
Sny, modły, płacz, pełna skarbonka
(A w niej dwieście siedemdziesiąt złotych).



Vanitas



Pozwalam pleśni na chlebie, w szklance z kawą,
Niech rośnie. Ona też ma prawo, tak jak huba,
Jemioła, grzyb na ścianie, pajęczyny w kątach,

Które zbierają w sieci kurz tego świata.
Pozwalam muchom pić z mojego talerza,
Po tym jak piły istnienie z jeża w ogrodzie.

Łagodnie obchodzę się z dorosłym kołatką,
Chociaż niedługo złoży śmierć w drewnie.
Zapraszam komary, wije, pijawki w stawie.

Kulawego kota, który na dodatek ślepnie.
Nie zdąży zauważyć, tym bardziej uciec
Przed kołami samochodu. Wessie go ił

I glina, z sierści może będzie gniazdo.
Zapraszam tego, co był w ziemi przed tobą.
I cieszę się, że jeszcze jesteś w dobrym stanie.



Ślub odbył się za szybko jak na ówczesne obyczaje

Ślub odbył się za szybko jak na ówczesne
Obyczaje, po trzech miesiącach,
I mama z pewnością miała ciekawszych

Konkurentów niż młody prawnik,
Aktor, reżyser, pisarz (nawet ksiądz w sutannie).
To tylko część powodów, dla których

Mógłbym nie istnieć (chyba, że dusza
Wybiera różne ciała i nie ma znaczenia
Z kogo, kiedy i w jakim miejscu).

I sam nie wiem, czy ojciec później
Próbował dorównać wciąż groźnym jeszcze
Konkurentom (walczą nawet zza grobu),

Czy było w nim coś przeciwnego orzekaniu,
Czego nie mógł mieć aktor, reżyser, pisarz
(Nawet ksiądz w sutannie). Teraz jednak

Znaczenie ma tylko to, że jestem,
Nie walczę o siebie, nie wynoszę się, nie bywam,
(I nie mam nic przeciwko Żydom).

L'inassouvissement

Poeta buduje dom, w milczeniu, nie używa
Języka. Nie pamięta metafor, buduje
Z cegieł i wapna. Pracuje w kurzu zrączych

Cementów, w pyle z drewna. Ślęczy we wszystkich
Urzędach po prąd, gaz i wodę, po telefon.
Nie czuje lęku, sam siebie nie poznaje.

Kładzie podłogi, deska po desce, sosnowe.
Sprowadza żonę i dziecko i urządza pokoje.
Tu kuchnia, tu garderoba, tam przedpokój.

Sypialnia jest w kolorze wrzosu, salon biały.
Ściśle wyznaczony jest również czas rozejmu.
Budzi się nad ranem, jak zwykle tuż przed piątą.

Powtarza jak mantrę: kawa, papieros, zegarek.
I właśnie teraz, gdy wszyscy w niego wierzą,
Zamyka kuchnię i odkręca kurek z gazem.

Miejsca, które nic nie znaczą

JD

Miejsca, które nic nie znaczą. Są, ale nie
W twoim życiu. Poczta, nadajesz z niej
Pierwszy telegram, szpital, sanatorium.

Przechodzisz obok ogrodu, a za rok
Będziesz w nim zbierał jabłka, maliny.
Usypiał w cieniu drzewa pierwszą córkę.

Miasto, które jest bliskie z niewiadomych
Powodów: Rynek, bulwar nad Wisłą,
Muszla koncertowa w parku.

Dekadę wcześniej malujesz na płótnie most
(Studium, ćwiczenie dla wprawy),
Z którego wiele razy będziesz z nim spoglądał

W dół, ciemne odmęty rzeki, na kamienie.
Zbieg okoliczności? Przypadek?
A może w każdej chwili zawarte są przeszłe

I następne? Nie ma końca ani początku,
Następstw i czasów, byłeś zawsze i będziesz.
Nie jesteś wolny, ale lepsze to niż cień kosmosu-

Pył gwiazdny, lód i gaz, światło, kwarki, atomy.
Choć i to coś porusza, utrzymuje przy życiu.
I nawet jeśli nie wiadomo po co – jest tym właśnie czułość.

Wizerunek z Edessy

Całe to twoje posługiwanie przy ciele,
Czesanie i mycie włosów, masowanie stóp.
Wcieranie olejków i spirytusu przeciw

Odleżynom, czyszczenie tracheotomii
Ze śluzu, krwi, wydzielin, przemywanie oczu,
Żeby zbyt prędko nie oślepiły. Nawilżanie ust,

Przewracanie na bok, jeden i drugi.
Zmiana pieluch, podmywanie (nauczyłaś się
Prędko). Wreszcie rozmowa, nie mniej ważna

Pielęgnacja duszy, która również cierpi.
Jak ciało leży obłożnie oszukana.
Godziny, które wykrađaś tajemnicy

W nieprosty sposób (schudłaś prawie dziesięć kilo).
Janie, Szymonie z Cyreny, Weroniko,
Z góry czasem widać mur chiński, tylko oceany.

Wehikuł

Do tego dnia, kiedy papieros (teraz niedopałek
Leżący za domem) został zapalony.
Do tej godziny, kiedy zakładałem żyłkę

Na kołowrotek. Kiedy piłem z kubka
Mawxell House ostatni raz kawę.
Kiedy ostatnim razem w baniaku na wodę

Była woda. Do tego wieczoru,
Którego zapalałem ognisko.
Jest jeszcze popiół, węgiel drzewny,

Nadgryzione płomieniem pudełko zapalek.
Do tego dnia, nie pamiętam w lipcu
Czy w sierpniu, kiedy w moździerz

Utłukłem różane płatki z cukrem
(Żona robi najlepszy pleśniak w kraju).
Kiedy ostatnim razem usiadłem w tym fotelu.

Do tego dnia chciałbym wrócić, tego czasu.
Przynajmniej jeden raz, choć na moment.
(Tylko nie wiem, z tą wiedzą, czy bez tej wiedzy).

Józef przy śpiącym ojcu

Oto demiurg, który nie ma władzy, w głębokim
Ponizeniu, wśród stert nieaktualnych gazet.
W pościeli pachnącej starymi ziołami.

Sam jeden stworzył miasto, ulice, rynek.
I wielki gmach gimnazjum. Uczy w nim
Rysunku pan Aredt do późnej nocy.

Wprawia w ruch ołówki, węgiel drzewny, grafit.
Stworzył mu warunki do egzystencji
(Która rzuca pewien cień na jego życie):

Południowe światło, ruchome obrazy.
Tchnął zapachy pomarańczy, deszczu, liści.
I przypraw korzennych. A teraz nie potrafi

Unieść ręki, ciągle śpi na jednym boku.
Pokonany przez formę, wyrzucony
Z monarchii tapet, karniszy i gniazd ptasich.

Czy umarł? I tak i nie. Bo są zdarzenia
Za wielkie by pomieścić się w zdarzeniu.
Zbyt doniosłe, żeby móc się wydarzyć.

(Arkusze papieru, ołówki, rysunek piórkiem).



Villa dei Misteri

W nocy obchodzę wszystkie pokoje, werandę.
Od kwitnących pokrzyw dzwonią weneckie okna,
Skrzypi podłoga, nawet kołatki zamarły

W pustych belkach. Szklanka z herbatą,
Niegdyś, teraz pusta. Szkli się jedynie na dnie
Krażek cukru, upite słodem szeleszczą

Trupy pszczół, trupy siedmiu pokoleń.
W nocy obchodzę wszystkie pokoje, otwieram
Szuflady, nadpalone książki. Cóż za opór,

I cierpliwość, żeby mimo wszystko trwać.
Przykrywam też ciało mojej córki i żony,
Zanim się znów, między nimi w kurzu położę.

Kaszuby, jest rok siedemdziesiąty trzeci

Kaszuby, jest rok siedemdziesiąty trzeci
Lub czwarty (ojciec jak zwykle gubi drogę).
Przypadkiem trafia na miejsce, które odtąd

Będzie świętym. Zbuduje ołtarz na wzgórzu
Z widokiem na jezioro, las po przeciwnej stronie,
Bogu składając dzięki, runo poziomek,

Malin, borowików z mchem i zapachem wrzosowisk.
Przybędzie tu pierwszy spośród setek osób,
Ale nie zmieni nic w przyrodzie,

Tajemnym układzie sił. Dlatego będą mu
Dziękować i mchy i paprocie, parasole
Kozłarzy, ryby podpłyną pod sam dom,

Jak palimpsesty, z których całe życie czytał
(Nie jestem pierwszy, mówił, nic nie jest moje).
Teraz też się wycofał, ale na zawsze.

Kto wie, czy nie poszedł za mnie, za ciebie,
Siostró, a nawet za borowiki z mchem
I zapachem wrzosowisk, poziomki, maliny.

Motyw z Baki

Jego królestwo wilgoci, baśń tysiąca narzędzi,
Z których każdy recytuje swoją historię.
Grabie o ogrodzie, łopata odę do węgla,

Ręczna piła treny o śliwach i topoli.
Orzechy schną w wiklinowych koszach.
Jego komnaty, perskie dywany pyłu i kurzu.

Salon z dostojną kotłownią, a w środku
W samym centrum – tron, chwiejne krzesło
Z politurą, z zamierzchłej epoki bonów.

I insygnia władzy, wiadro i pogrzebacz.
To tu przyjmował hołdy, wszystkie lenna.
Szły do niego mrówki i stonogi,

Pająki trącały cienkie struny sieci, ćmy pisały
Na żarówce raport o stanie państwa,
Własnym życiem. Sprowadził nawet mistrzów

Głęboko spod ziemi, speców od sztukaterii.
Grzyby i pleśń. Wszystkie powoli nim się zajęły.
Nastaly dni żałoby, ciemne czasy republiki.

Pozwolić człowiekowi umrzeć

Pozwolić człowiekowi umrzeć,
Czy to nie jest forma eutanazji?
(Zabiłem kiedyś królika, którego

Żywcem zjadało robactwo
Czy też wyzwoliłem go od cierpień?)
Wiem, naprawdę zacząłeś umierać

Dużo wcześniej, nim powiedziałem,
Odejdź, jeśli tak będzie lepiej.
Czekałeś na przyzwolenie czy też

Poczuleś się odrzucony jak tysiące
Innych istnień w lazaretach, ojomach,
Domach niespokojnej starości?

Nie wiem. Wybrałeś mnie,
Żebym świadczył, czy bym pokutował?
Skąd wiedziałeś, że to jedno i to samo?

Teologika II

Moje ciało, które ma tyle z ojca mojego
(Widziałem, kiedy leżał w poniżeniu).
I teraz bezwiednie porównuję każdy

Szczegół: kość, mięsień, przyrodzenie, pieprzyk.
W jakiej żyły zgodzie ze sobą, jaki porządek
Był między duchem ojca a materią.

Poniżenie przyszło przeze mnie, przez ciało,
Do którego nigdy nie miałem szacunku
(Karałem swoje ciało, że jest za cielesne).

A ojca nic nie mogło poniżyć, ani krew,
Wydzieliny, ani krańcowe wyniszczenie.
Ciało ojca nie miało nad nim żadnej władzy.

Moje ciało, które ma tyle z ojca mojego,
Odtąd żyje w harmonii. Może mi zostać
Odebrane, może umrzeć (już raz umarło).

Wędrowiec w morzu mgły

Rok tysiąc osiemset szesnasty, nie wiadomo,
Kryzys wiary lub próba samobójstwa,
Może długa podróż z przyjacielem Kerstingiem

W Karkonosze na południe od Drezna,
(W chlebakach była woda i szkicowniki).
Surowe jak drewno pasma gór, udreki

Jeszcze skrytej za mgłą (nie mogło jej zabraknąć
Na żadnym z płócien), Caspar David namaluje
Postać siedzącą tyłem i odtąd bezimienni

Staną się głównym motywem. Dwa lata później
Małżeństwo z Caroliną Bommer, podróż na Rugię
O klifach białych jak kość słoniowa

Nic nie zmieni. Czym, jeśli nie nadmiarem
Kurtuazji można nazwać list, w którym pisak:
„Dużo się zmieniło, odkąd ja przekształciło się w my”?

W oddali, za niskimi horyzontami
Nie ma i nie było żadnego Absolutu,
Odwiecznego Słowa, tchnienia, jakkolwiek to nazwać.

Tylko nicość, bezmiar. Na twarzach przerażenie,
Dlatego nie ma twarzy (ukłon Friedriecha
W stronę tych, którym my przekształciło się w ja).

Vanitas II

Chrobot kołatków w niegdysiejszym drewnie.
Pilnie kruszą materię, sypie się pył,
Żółta mąka czasu. I wykwyty rdzy,

Kielki przyszłego złomu, a jeszcze lśnią
Wiadra, klucze, dłuta, ich wysoki ton
Brzmi wesoło, znajomo (tak jak młodość).

Pieśń nowego czajnika, który gwizdże
Na przemijanie a obok elegia
Ścierki do podłóg (niegdys modnej koszuli

Ze stójką). Wilgoć kruszy zaprawę,
Rozsiewa się po boazerii, meblach
Pismem czytelnym jedynie dla umarłych.

Już zaczął się zwycięski pochód ziół
W rynnach, z komina wystrzeliła brzoza.
Szeleści, jakby nawoływała

Inne drzewa z odległych krain.
Buk, wierzba, leszczyna niedługo tu będą.
I wezmą w wieczyste posiadanie

Każdy przedmiot, imię wykołysane
W nietakt zegara ściennego z kukułką
(Jedyną formą radosną w zegarze).

Myszę nad tym, co mogłem jeszcze zrobić

Myszę nad tym, co mogłem jeszcze zrobić.
I czy zdążyłem wszystko powiedzieć.
Straszne, że trzy i pół miesiąca męki

Mogło być tylko po to, żebym ja zdążył.
Ten nasz pośpiech, by umieścić go w szpitalu,
Miejscu wyalienowanej, odsuniętej śmierci

(Kto w dzisiejszych czasach umiera w domu?)
Czy on nie dokonał zniszczenia? A może
Gorliwość, także błędy w sztuce lekarskiej

Też są na usługach planu, wliczone
W ekonomię zbawienia lub potępienia?
I wszystko dzieje się tak a nie inaczej

Bez naszego wpływu, ale z naszym udziałem?
Jeśli tak, to czego nie powiedziałem
I nie zrobiłem, też ma jakieś znaczenie.

Cienie: rzeczy, pewności, nietrwałość.
Jak na fotografii, którą mu dawno zrobiłem,
Kiedy miał jeszcze ciało, dni policzone.



Ilustracja do Apokalipsy. Gwasz, pastel.

Tutaj noc a po tamtej stronie jest dzień,
Ruch na ulicach, telefony, wymiana towaru
Za pieniądze. Trzecia część nocy,

Umywalka pełna rdzawej wody. (Obrazy
zbyt dosłowne). Tafle wód leżą jak lustra.
Przez otwarte usta wchodzi demon,

Ciągnie za sobą siedem następnych.
I są litanie rzeczy, pełne siatki zakupów,
Wróżenia z ręki, dary i talenty.

Mój język nie bluźni i nie mówię biegle
W aramejskim, w innych narzeczach martwych.
Krzyżyk noszę na piersi i mnie nie pali.

Wypędzam choroby, po tym mnie poznają.
Dwa święte wyrazy: tolerancja i litość.
W ich obronie karzę, gotów jestem zabić.

Lipiec i ciągle długie dni, bez końca

Lipiec, i ciągle długie dni, bez końca.
Sierp zarósł rdzą, cynie w ogóle nie wzeszły.
Przez ogród przetoczyły się armie ziół,

Tabory bylic i ostu. W twoim pokoju
Jak zwykle gwarno: muchy tłuką się o szybę,
Motyle zamiatają kurz z framug.

Ciągle pracuje podłoga ze świerku
(Chociaż nie odczuwa już ciężaru).
Jest lipiec, a potem będzie sierpień,

Październik i pozostanie pytanie,
Które brzmi jak zarzut. Jakby od ciebie
Zależał wybór miejsca i czasu.

Rzeczy i pory roku poradzą sobie
Bez ciebie (w innej, zmienionej formie).
Nie do przyjęcia dla mnie.

Pamiętam dobrze, miałem już siedem lat

Pamiętam dobrze, miałem już siedem lat,
A ojciec ciągle nosił mnie do snu,
Śpiewał O mój rozmarynie rozwijaj się.

Gabinet ciągle pogrążony w dymie,
Akta z szarej tektury, pochyle pismo,
Filigranowe. Nie zmieniło się nigdy

Tak jak podpis (ja swój zmieniałem co roku).
Chińskie długopisy ze złotą strzałką,
Które przechowywał w skórzanym etui.

Wszystkie prezenty. Nigdy mnie nie rozpieszczał,
Dlatego zapamiętałem: Spinning,
Kołowrotek firmy Rex na dwóch łożyskach,

Rower z prawdziwymi kierunkowskazami.
Wyprawy na Lipowski Groń, Przysłop Barani,
Cisownicę. Wiśniówkę oleistą jak rzepak.

Miał szczęście czy nieszczęście pochować
Niemal wszystkich przyjaciół
(I coraz częściej mówił, jak ten czas leci).

Pamiętam coraz mniej, za kilka lat
Zostaną pojedyncze obrazy,
Urywki zdań, nieostry widok twarzy.

Zniknie ból albo zastąpi go nowy,
Dlatego silniejszy (na przykład z powodu
Utraty psa, pieniędzy, złamania ręki).

Archeologia

Alkiermes, proszek Oetkera, laski cynamonu.
I pieśń sodowa z blaszanej budki Cylii Eisen.
Zapachy kwaśnej cytryny i lepkich malin.

Na siódme urodziny lody też cytrynowe.
A w nich jak planety rodzynki, migdały,
Niczym pył gwiazdny sypkie kakao.

Zioła w zeszytach, gadanie ze zwierzętami.
Wszystko ma znacznie, każdy szczegół
Jest ważny. Jak przetrwał zimę czterdziestego roku,

Gorączki, obierki ziemniaków na obiad,
Szron pod stopami ostry jak tłuczone szkło.
Egzekucje, z której strony na nie patrzył?

Nie może zabraknąć snu, rozmowy z Komitecie
Centralnym, wódki, ucieczek z domu.
Potem pokuty w kapciach przy garach w kuchni.

Pracuję w kurzu, pleśni akt i notatek.
Kopię w mokrej glinie i ciemnym humusie
(Nie przypuszczając, że jest gdzie indziej cały).

Miejsce zesłania, dalekie i obce miasto

Miejsce zesłania, dalekie i obce miasto.
Pokój bez imienia, jakby dla kontrastu
W ciepłym kolorze, w odcieniu piasku.

Długie, zimowe wieczory a potem sny,
Które stara się przypomnieć. Wierzy bowiem
W obcowanie dusz tak świętych

Jak i nie świętych. A on był pomiędzy.
I może śle listy o ważnej treści,
Pije razem z nią poranną kawę z mlekiem,

Jak refren powtarza: Tutaj jestem.
Mógłby przecież otworzyć szuflady,
Zrzucić na podłogę zdjęcie w ramce

(To, na którym patrzy przez ciemne okulary),
Zatrzymać zegar w piątek na dziewiętnastej.
Ale ona zaraz wezwie na pomoc fizykę

I chemię. Więc tylko stoi z tyłu, za plecami.
Czyta przez ramię: Brak mi jego stąpania
Nad ranem. Cichego, by mnie nie zbudzić.

Zacienione pokoje, ciężkie story z adamaszku

Zacienione pokoje, ciężkie story z adamaszku,
Zegary jak metronomy, w każdym pokoju jeden.
A południe idzie w rytmie marszu

Przez taras i ogród, klatkę schodową,
Czyta rękopisy i pocztę, poranne gazety.
To coś zamierzchłego, jakieś przeczucia.

Czas zaległy, moje życie lub nie moje.
Brazowe szkło apteczne, puder z faworków
I mak ze strucli, kawałki sera.

Zapachy z wszystkich kolonii, drzewa różane,
Imbiry i cedry i tytoń i wody toaletowe.
Babcia Rozalia z Rozwadowskich w fotelu,

W czarnym trenie, z monoklem w oku.
Dwa Stradivariusy w kącie.
Spacery pod tętnie i grzyb solankowy.

Pensjonaty, kąpiele, niespieszne lektury
W parku, w cieniu zimnej wojny.
I wczesne wieczory, sople na szklarniach,

Krakanie wron, wywoływanie duchów:
Szwagrów, ciotek, kuzynów, sióstr.
Ich straszne losy. Wejdą nam do snów

I białej księgi imion przez uszy –
Jedyną drogą gwałtu. I nie będzie więcej sanek,
Łuków z leszczyn. Bez lęku, bez poczucia winy.

Anno Domini 2050

W oknie będę czekał, aż wróci z miasta.
Wniesie siatki z książkami, winem i chlebem.
Obie córki będą od dawna pochowane

W willach obcych mężczyzn, w ich ramionach.
Czasem jedna zadzwoni, druga przyjedzie.
I będzie milczenie, długie minuty ciszy,

Kłopotliwe spojrzenia, a potem prezenty.
W kredensie szklanki, ciągle niedomyte.
Gorzki zapach lekarstw, których zadaniem

Przedłużać wciąż za krótkie życie.
I szafy pełne ubrań, których nie weźmiemy.
Powolne kroki z kuchni do pokoju,

Szuranie kapciami. Żucie skórki chleba.
Strach przed mrozem, upałem,
Zamarzniętą kałużą, której przekroczenie

Wydaje się być nie lada wyczynem.
Cały świat przeciwko. Tabloidy, schody, reklamy.
Nawet własna dusza (niestety też się starzeje).

W oknie będę czekał, aż wróci z miasta.
Pojawi się na zakręcie, potem trzaśnie furtką.
Położy siatkę i znów zapyta, jak mam na imię.

Kropka, kreska, kropka, stukam ołówkiem

Kropka, kreska, kropka, stukam ołówkiem
O kaloryfer może tam znają ten rodzaj pisma.
W końcu nie odpowiadają na listy, podania,

Petycje, zanoszone w nocy na klęczkach.
Zostawiam na stole okruchy chleba i wodę,
Dokładnie policzone, potem odmierzam

Linijką, ale je pleśń tylko, pije atmosfera.
Musi być jakiś wolny kanał, niezajęta częstotliwość,
Numer telefonu lub nawet stara szafa,

Której pilnuje anioł o ludzkim obliczu.
Wystarczy słowo, jeden dowód, przysięgam,
Że potem zapomnę. Możesz mnie nawet sądzić,

Z tej łaski, że było mi łatwiej. Lepsze to niż
Pogańskie sztuczki, wiara w słońce,
Stare wróżby: jesteś, nie jesteś, będziesz, nie ma cię.

Cztery fotele z czasów kawalerki

Cztery fotele z czasów kawalerki
(Tylko tyle wniósł ojciec do posagu).
Całkiem zwykłe drewniane oparcia,

Podbite niegdyś zielonym materiałem.
Były przewodniczący komisji lokalowej
Mógł wybrać dowolny apartament w mieście,

A jednak wziął ciasną kawalerkę,
Ogrzewaną w zimie gazem z kuchenki
(Z dwóch palników). Nigdy się nie zmienił,

Nie przyjął legitymacji partyjnej
(Order Odrodzenia przysłali pocztą).
Tak też było można, tak żyć

I przeżyć system. A z czterech foteli
Po licznych tułaczkach został jeden.
Jaki jest teraz wymowny przez milczenie,

Jaki nachalny przez nieobecność.
A kiedyś twoje oparcia zbutwieją,
Materiał zgnije (za to, że przeżyłeś jego).

Dajmy na to, Murka opuszcza kryjówkę

Dajmy na to, Murka opuszcza kryjówkę.
Idzie, cała w śniegu do domu sąsiadów
Po garść mąki, ćwierć ciemnego chleba.

Po powrocie zastaje pustkę, ślady kół,
Rozbite naczynia. Kipę ojca w zaspie
Jak półmisek z dymnego szkła.

Utlenią jej włosy, na szyi powieszą krzyżyk,
Odtąd będzie Magdą lub Martą.
Dziesięć lat później weźmie ślub z Józefem

(W szkole zawsze siedzieli w jednej ławce).
Urodzi mu synów i córki, wszystkich
W ciemnej karnacji. I tu jest pytanie,

Ważne, czy będę, choć nieco inaczej?
A jeśli tylko biologia, winien jest przypadek.
Kogo w takim razie nie ma? Kto za mnie nie istnieje?

Nikifor na moście

Za tym wzgórzem biegnie kolej, jest też stacja
Święta jak wszystkie cerkwie, pokryta gontem.
Jest po sezonie, jak zawsze, jak całe życie.

Wille, pejzaże, dworce, całe miasta
Z tysiącami okien, a dalej grzyby w uzdrowiskach,
Muszle koncertowe, sanatoria pełne soli.

Wszystko nieczynne z powodu snu,
Braku światła. Jedyne lunatyk jest z krwi
I kości, z łemkowskiego *kopyła*,

Czyli bękart, enfant terrible całej rodziny.
Jest już po wizycie Świętej Trójcy.
I nosi teraz stulę i infułę. Czyta księgę.

Rozsyła swoich uczniów, dyrygenta,
Listonosza i zawiadowcę stacji.
Wezmą do arki zwierzęta, nasiona,

Zapachy starego drewna i farby wodne.
Niebawem uzdrowisko przeżyje najazd.
Przyjadą kuracjusze i dzieci (najbardziej okrutne).

Naan

Zamykam oczy i czytam list, jest w starym języku.
Tak jak cień tej doliny, kamienie a między nimi mirt,
Cytryny, wodopoje. Czterdzieści lat na pustyni

W piachu ulic, starych mieszkań, wśród demonów.
I niejasne znaki, namioty w cieniu skał.
Telefony, listy, rozmowy, po których jestem

Coraz bardziej sam. I klęczę przed łóżkiem,
Za stołem, w łazience. Klęczę w snach -
Jedynym miejscu, w którym mogę bezkarnie

Dotykać twoich żył, usypiać w cieniu ramion.
I piję ocet zamiast wina i oliwy.
I jem maror, gorzkie zioła, sałatę, chrzan.

Z czasem staje się dla mnie jasny wyrok

Z czasem staje się dla mnie jasny wyrok,
Czarny woal matki, słowo nigdy,
Które nabiera właściwej głębi,

Jak batyskaf opada na ciemne dno.
Nie widziałem ojca już prawie rok,
Jedenaście długich miesięcy –

(Dwa tygodnie rozłąki to było wszystko,
Na co było go stać), choć i wówczas
Słał listy, kartony z grzybami,

Dzwonił z odległych powiatów.
A teraz obracamy się w świecie znaków,
Przeczuć, sny są pełne ujęć, fotografii.

Kojarzymy otwarte drzwi i zapalone światło,
Kroki na schodach i przeciąg.
Nawet osę, która siada na dłoni i nie żądli.

Nasz mały wkład w historię szaleństwa.
Sól i ocet. Biblia Pauperum.
Księgą głupców (którzy posiadają królestwo).



Pytanie, które powraca coraz częściej

Pytanie, które powraca coraz częściej:
Gdzie jesteś? Nie mogę cię znaleźć
W starych, znajomych miejscach,

A nawet tam, gdzie podejrzewam,
Że jesteś. Przeczuwałem istnienia
Umarłych chomików, psów, kota.

Słyszałem szepty, kroki na schodach.
Tłumaczyłem córce, że nawet
Motyle, ważki, ptaki idą do nieba.

Może chodzi o to, że wtedy wierzyłem,
Ale wiara w życie zwierząt
Jeszcze do niczego nie zobowiązuje.

I nie ma żadnych snów czy znaków
Właśnie dlatego, że nie dałbym rady
Ich unieść (nic nie zmieniając w swoim życiu).



Spis treści

Dowody na istnienie	5
Zapachy istnienia, po otwarciu szafy	6
Anastasis	7
Teologika I	8
Już nic nie napiszę, dokończę tylko miłość	9
Jeden z moich pierwszych snów o ojcu.	10
Vanitas	11
Ślub odbył się za szybko jak na ówczesne obyczaje	12
L'inassouvissement	13
Miejsca, które nic nie znaczą	14
Wizerunek z Edessy	15
Wehikuł	16
Józef przy śpiącym ojcu	17
Villa dei Misteri	18
Kaszuby, jest rok siedemdziesiąty trzeci	19
Motyw z Baki	20
Pozwolić człowiekowi umrzeć	21
Teologika II	22
Wędrowiec w morzu mgły	23
Vanitas II	24
Myślę nad tym, co mogłem jeszcze zrobić	25
Ilustracja do Apokalipsy. Gwasz, pastel.	26
Lipiec i ciągle długie dni, bez końca	27
Pamiętam dobrze, miałem już siedem lat	28
Archeologia	29
Miejsce zesłania, dalekie i obce miasto	30
Zacienione pokoje, ciężkie story z adamaszku	31
Anno Domini 2050	32
Kropka, kreska, kropka, stukam ołówkiem	33
Cztery fotele z czasów kawalerki	34
Dajmy na to, Murka opuszcza kryjówkę	35
Nikifor na moście	36
Naan0	37
Z czasem staje się dla mnie jasny wyrok	38
Pytanie, które powraca coraz częściej	39

Radosław Kobierski, *Lacrimosa*

© copyright by Radosław Kobierski

© copyright for this edition by

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Kraków 2007

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Mariusz Pająk

Redaktor tomu: Roman Honet

Redaktor serii: Mariusz Czyżowski

ISBN XXXXXXXXXX

Biblioteka
Dwumiesięcznika Literacko-Artystycznego *STUDIUM*
tom 94

Wydawca:

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
30-404 Kraków, ul. Cegielniania 4A,
tel. (012) 266-67-98, 266-67-56, 266-62-94
www.zielonasowa.pl
e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl

oraz

Studium Literacko-Artystyczne
przy Instytucie Polonistyki
Uniwersytetu Jagiellońskiego